

Świat stanu wyjątkowego

31 sierpnia 2013

Kolejne doniesienia o powszechnej inwigilacji, erozji praw obywatelskich, naciskach na dziennikarzy i ograniczaniu wolności na światowej opinii publicznej nie robią już większego wrażenia. Uznaliśmy, że naruszanie fundamentalnych liberalno-demokratycznych zasad to konieczność. I wymieniliśmy prywatność na fałszywe poczucie bezpieczeństwa oraz sweet focie na Facebooku.

Gdy minął pierwszy szok po rewelacjach Edwarda Snowdena, który w „Guardianie” oraz w „New York Timesie” ujawnił skalę inwigilacji internetu, nadeszła faza druga – obojętność. Na kolejne doniesienia w sprawie programu PRISM i amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) większość reaguje wzruszeniem ramion. Po wstrząsającej konstatacji, że nadzieja lewicowo-liberalnego świata Barack Obama okazał się współczesnym Richardem Nixonem, informacje o tym, że swoją wersję PRISM ma też wywiad brytyjski (TEMPORA), francuski (Wielki Brat), a Niemcy program do inwigilacji świata cyfrowego z zapalem budują („Program rozwoju technicznego”), nie mają już takiej siły rażenia. Podobnie jak to, że internetowe korpogiganty, od Google, przez Facebooka, na Apple kończąc, mają na nasz temat wszelkie możliwe informacje, które zresztą sami z wielką chęcią podajemy im na tacy.

Przy okazji wyszło na jaw nasze schizofreniczne postrzeganie rzeczywistości, na które zwróciła uwagę Anne Applebaum, słusznie pisząc, że „ludzie z reguły nie mają nic przeciwko temu, że ich maile są skanowane przez algorytm dopasowujący reklamy, jednak oburzają się, gdy to samo robi instytucja rządowa”. Jednak to oburzenie nie było wcale takie duże. Snowden i „Guardian” krzyknęli, że król jest nagi, a do tego cały czas nas szpieguje, a my kliknęliśmy ikonkę „lubię to” i wróciliśmy do swoich zajęć. Nie przeszkadza nam, że od 2001 r. i zamachów terrorystycznych na World Trade

Center żyjemy w świecie permanentnego stanu wyjątkowego. Teza byłego premiera Tony'ego Blaira, że „11 września zmienia wszystko”, dała zielone światło dla antydemokratycznych idei. Podstawowe zasady demokracji zostały więc zawieszone lub porzucone w imię walki z terrorem. Tyle tylko, że świat stanu wyjątkowego trudno jest z powrotem przekształcić w świat, w którym ludzie mają zagwarantowane prawa i wolności na poprzednim poziomie. Na przestrzeni wieków i na przykładach różnych autorytarnych państw można śledzić mechanizm, który sprawia, że w państwie stanu wyjątkowego urzędowych nieprawości przybywa bez względu na poziom zagrożeń.

PORZĄDNY OBYWATEL NIE MA SIĘ CZEGO OBAWIAĆ

Tony Blair miał rację. 11 września faktycznie zmienił wszystko. Szok po zamachach w Nowym Jorku był tak duży, że dał paliwo fundamentalistom i autorytarystom, którzy zawładnęli globalną opinią publiczną. W ten sposób opisana przez Benjamina Barbera walka McŚwiata z Dżihadem zamieniła się w zapowiedziane przez Samuela Huntingtona zderzenie cywilizacji. I dziś, prawie dwanaście lat później, ta neokonserwatywna wizja wciąż dominuje. Podobnie jak poczucie strachu, które stale podsycane przez prowadzących „wojnę z terroryzmem” wcale nie słabnie. I to pomimo że terroryzm towarzyszy światu od czasów wynalezienia prochu. Ataki irlandzkiej IRA, baskijskiej ETA, separatystów algierskich, kurdyjskich, korsykańskich, czeczeńskich, włoskich faszystów, niemieckich, brazylijskich, boliwijskich lewaków, rozmaitych mafii, amerykańskich prawicowych milicji i chrześcijańskich przeciwników aborcji, japońskich, indyjskich i amerykańskich sekt, szaleńców jak Ted Kaczynski nie miały jednak takiego wpływu na psychikę globalnej opinii publicznej jak 11 września. Być może rolę odegrała tu amerykańska umiejętność tworzenia mitów albo perfekcyjnie dopracowana propaganda gabinetu Busha jr., która przekonała Amerykanów, a także świat, że „wojnę z terroryzmem” można wygrać.

I właśnie ta obietnica ostatecznego zwycięstwa tworzy

niebezpieczne złudzenie, pod wpływem którego opinia publiczna godzi się na erozję praw obywatelskich i wolności. Bo jeśli uwierzemy, że „wojna z terroryzmem” rozwiąże problem terroryzmu, z którym świat zachodni boryka się od setek lat, uznamy wprowadzenie nadzwyczajnych środków do osiągnięcia tego celu, nawet kosztem naruszania zasad demokratycznych, za uzasadnione. Dlatego też aż 62 proc. Amerykanów według sondażu przeprowadzonego przez PEW Research Center gotowych jest zrezygnować z prywatności – nawet za cenę inwigilacji na skalę tak gigantyczną, jaką wymarzyli sobie twórcy systemu PRISM. Zaś 56 proc. akceptuje tajne zezwolenie sądowe, jakie uzyskała Narodowa Agencja Bezpieczeństwa (NSA), by śledzić dane dotyczące rozmów telefonicznych milionów Amerykanów w ramach śledztw antyterrorystycznych. Brytyjczycy są nieco bardziej sceptyczni, ale nawet pomimo że zamachy w londyńskim metrze nie spowodowały takiej społecznej traumy i szoku jak 11 września, to wciąż według YouGov 42 proc. wyspiarzy uważa, że „policja i służby bezpieczeństwa mogą łamać prawo, jeśli pozwoli im to w walce z poważnymi przestępstwami i terroryzmem”. Z tego społecznego przyzwolenia na łamanie prawa przez służby skwapliwie korzystają brytyjscy politycy. Niezależnie od barw partyjnych.

INWIGILACJA PONAD PODZIAŁAMI

Wyspy Brytyjskie od lat przemieniają się w schizofreniczny sen miłośników teorii spiskowych węszących wszędzie powszechną kontrolę, inwigilację i łamanie praw obywatelskich. Współpraca brytyjskiego wywiadu z amerykańską agencją NSA to zaledwie promień antydemokratycznych czy też wątpliwych działań brytyjskich służb. Przecież zaledwie dwa lata temu wyszło na jaw, że ponad 800 różnej maści organizacji, instytucji rządowych, policji, firm ochroniarskich, samorządów lokalnych itp. otrzymało prywatne dane ponad 250 tys. osób. Co roku na Wyspach wybuchają afery z brytyjską policją w roli głównej, która zbiera fotografie, pliki wideo, zeznania podatkowe oraz bilingi politycznych aktywistów, którym zdarza się

demonstrować na ulicach.

Na przestrzeni ostatnich paru lat pod czujną obserwacją znaleźli się m.in. ekolodzy sprzeciwiający się rozbudowaniu lotniska Heathrow. Przygotowani policjanci jeszcze przed planowanymi demonstracjami prewencyjnie wyłapują tych, którzy wcześniej podpadli, np. liderów strajków. Podobna akcja miała miejsce w niewielkiej szkole w Sneiton, gdzie 114 ekologów zostało aresztowanych, zanim zdążyli wyruszyć na demonstrację przeciwko elektrowni węglowej w Ratcliffe-on-Soar w Nottinghamshire. Przeciwko ekologom zastosowano antyterrorystyczne ustawodawstwo. Brytyjska policja korzystała z pomocy płatnych informatorów, podsłuchów oraz monitorowała pocztę elektroniczną i SMS-y aktywistów. Miłośnicy przyrody, którzy wcześniej nie mieli żadnego zatargu z prawem, zostali potraktowani jak terroryści i prewencyjnie zamknięci z podejrzeniem „spisku zmierzającego do nielegalnego wtargnięcia na teren zakładu i sprowokowania działań kryminalnych”.

Za przykładem rządu idą prywatne firmy. Richard Thomas, były pełnomocnik rządu ds. informacji, opublikował listę 40 największych brytyjskich przedsiębiorstw, które kupowały prywatne dane tysięcy pracowników. Brytyjskie mołochy płaciły także za wszelkie sekrety o ludziach, którzy starali się o zatrudnienie, dzięki czemu jeszcze podczas rekrutacji odstrzelivano pracowników, którzy mogą być kłopotliwi, głównie członków związków zawodowych i borykających się z problemami zdrowotnymi. Do tego dochodzi 5 mln zainstalowanych kamer na brytyjskich ulicach i 4,5 mln próbek DNA Brytyjczyków, które brytyjskie specsłużby kolekcjonują z zapalem filatelistów.

Te wszystkie działania mają zielone polityczne światło bez względu na to, kto rządzi Wielką Brytanią. Labour, lib-dem, konserwatyści wspólnie konsolidują wątpliwie demokratyczne uprawnienia. Polityka „Wielkiego Brata” jest zbyt wielkim fetyszem. Bez nacisku opinii publicznej nic się nie zmienia. A wysiłek i poświęcenie Edwarda Snowdena czy Bradleya Manninga, który ujawnił zbrodnie wojenne USA w Iraku, pójdą na marne.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)